

LATA SZKOLNE

Pewnego wieczoru, kiedy śledziliśmy wszyscy przy stole, ojciec spytał:

— Dzieci, kim chcecie być? Czy już pomyśleliście o tym? Odpowiadaliśmy po kolei. Ja powiedziałem szybko:

— Będę nauczycielem.

Ledwo to wypowiedziałem, a już rodzeństwo nabijało się ze mnie:

— Ty nauczycielem? Nie umiesz nawet wymawiać “r”. Ojciec uspokoił ich, ale ja podniosłem się z miejsca ponury. Ponosił mnie gniew. I poczułem teraz nienawiść do tych, co potrafią dobrze mówić. W owym czasie przyszła na nasze podwórko pewna Cyganka. Ojca znów nie było w domu. Chwyciła moją dłoń i wymamrotała coś, czego nie rozumiałem. Ale było to dziwne, bo od owego dnia, gdy tylko napotkałem na jakąś trudność, zaczęły nawiedzać mnie myśli o samobójstwie. Jeśli na jakimś zgromadzeniu myślałem o nawróceniu, przelatywało mi przez głowę: dla ciebie nie ma już łaski, jesteś zgubiony!

Ojciec wziął sobie jakoś do serca to moje postanowienie, że chcę być nauczycielem. Po pewnym czasie powiedział do matki:

— Wiesz, chodzi mi po głowie, by zgłosić Gerharda do polskiej szkoły; powinienem dać mu możliwość nauki.

I tak też uczynił. Dwa lata po wojnie część naszego powiatu przyłączono do Polski, ze względów komunikacyjno-technicznych. Niemcy jednak zachowali dłużej swe szkoły podstawowe, ale niemieckich szkół wyższych nie było w naszej okolicy. Nie pozostawało mi nic innego, jak uczyć się polskiego. Robiłem postępy i po dwóch latach doszedłem już do tego, że mogłem wstąpić do seminarium nauczycielskiego. (Można je porównać z dzisiejszym gimnazjum i czterema semestrami pedagogiki). Szło jednak o „kochane pieniądze”. W ówczesnej Polsce panowała wielka bieda. Ceny płodów rolnych były niskie. Choć uprawiano dużo żyta i pszenicy, wieśniacy żywili się głównie ziemniakami. Pamiętam, jak ojciec powiedział któregoś ranka:

— Matka, obrałem już 98 kartofli, ale czy to wystarczy? Czy my się tym najemy?

Za szkołę trzeba było płacić, książki samemu sobie kupować, a poza tym starać się o kwaterę i utrzymanie. Ojciec rozważał to, a potem rzekł:

— Będzie nam bardzo, bardzo ciężko wysłać cię na naukę. Zrobię, co w moich siłach. Ucz się jednak pilnie, abyś nie powtarzał roku.

Nie zapomnę wyrazu jego twarzy. Miał na niej wypisaną miłość ku dziecku i troskę o przyszłość. On sam chodził do szkoły zaledwie trzy miesiące, ale doszedł do tego, że razem z którymś z braci wydawał małe czasopismo chrześcijańskie „Zgoda”.

Zdałem egzamin wstępny i zostałem przyjęty. Otwierał się przede mną nowy świat. Opuściłem dom rodzinny, znalazłem się wśród obcych, ludzi, w polskiej szkole, w której wprawdzie byli również Niemcy, ale nie przyznawali się do tego. Ja byłem dumny, że jestem Niemcem i śmiało o tym mówiłem. I o dziwo, polscy koledzy nie brali mi tego za złe, szukali nawet mego towarzystwa, a ja zacząłem ten naród rozumieć, lubić i szanować jak swój własny.

Mieszkałem z kilkoma kolegami w jednym pokoju. Pod koniec tygodnia zazwyczaj przyjeżdżałem do domu. Ojciec dawał mi oczywiście na pociąg, ale kiedy przyszły ciepłe dni przemierzałem te 14 km piechotą, by zaoszczędzić trochę pieniędzy. Najbardziej się cieszyłem, gdy na dużej przerwie mogłem sobie kupić dwie bułeczki. Nie śmiałem prosić ojca o więcej pieniędzy. Na Syberii odpokutował i nadszarpnął swe zdrowie. Serce mnie bolało, gdy wracając do domu spotykałem go nieraz zgiętego w pół przy ciężkiej pracy na polu. Jakże mógłbym oczekiwać czy też wymagać od niego pieniędzy, czy większego wsparcia!? Miałem przecież tak dobrze. Musiałem się tylko uczyć. Zacząłem więc nocami oprawiać książki, które przynosiłem z różnych bibliotek. Czasem sypiałem zaledwie 3-4 godziny na dobę. Ale wytrzymałem. Wiele tych książek też przeczytałem. Nie wszystko było w nich dobre. Zacząłem wtedy zauważać bogatszych kolegów, którzy od rodziców dostawali tyle pieniędzy, że wydawali je bezużytecznie. Wkradła mi się do serca nienawiść wobec bogatych i pewnego dnia powiedziałem sobie: „Od biednych nie będę nic brać, ale bogatym ukradnę”. I do tego też doszło. Od najgorszego uchroniła mnie jednak łaska Boża. Z pewnością były to modlitwy ojca, gdyż skradzione pieniądze paliły w rękach jak ogień. Boleśnie odczuwałem swą podłość i obrzydliwość. Aż pewnego dnia powiedziałem sobie: „Nie, tylko to, co sobie zarobisz może być twoje”. Ale nienawiść w sercu pozostawała, nienawiść do bogatych, dobrze urządzonych. Wkrótce podzieliłem się swymi myślami z tymi, którzy jak ja byli biedni. I tak zrodziły się w szkole socjalistyczne tajne paczki polityczne. Trzymaliśmy się mocno razem. Nic nie dochodziło do uszu Rady Pedagogicznej, bo inaczej wylecielibyśmy. Takie rzeczy były bowiem zabronione.

Pamiętam, że dwóch wykładowców szczególnie zapisało mi się w sercu. Pierwszy nazywał się Balachowski, a drugi Kozusznik. Balachowski wyjątkowo nienawidził Niemców. Nigdy się nie dowiedziałem, dlaczego. Możliwe, że w pierwszych latach powojennych doświadczył od Niemców czegoś złego. Z nim też musiałem mieć do czynienia. Dawał mi odczuć, że jestem Niemcem. Wtedy w moim wnętrzu burzyło się wszystko przeciwko Bogu, Stwórcy. Mówiłem: „Boże, jeśli Ty ukształtowałeś ludzkość i ludy, to po co tyle nienawidzących się narodów? Dlaczego nie było Twą wolą stworzyć tylko jeden lud, jedną mowę, skoro jesteś wszechmocny?”. Wszystko we mnie buntowało się przeciwko Bogu. Przestałem już chodzić na szkolne nabożeństwa, nie czytałem więcej Biblii, nie chciałem już nic więcej słyszeć o zajęciach biblijnych. Po jakimś czasie udało mi się zyskać sympatię profesora, dzięki pracy nad tłumaczeniem z niemieckiego na polski. Starłem się teraz robić wszystko dobrze i nawet lubiłem samego siebie.

Ten drugi profesor był ewangelikiem, znał społeczność wierzących i utrzymywał z nią kontakt. Uczęszczał również na coroczne uroczystości misyjne, odbywające się w stodole mego ojca. Bardzo mu na mnie zależało, gdyż darzył mego ojca szczególną sympatią ze względu na jego pobożność i łagodność. Często, gdy widział mnie smutnego i samotnego, nieszczęśliwego i napiętego wewnątrz, pocieszał i zapraszał do siebie. Będąc przyjacielem mego ojca starał się mną opiekować, ale ja wydawałem się wówczas sobie szubrawcą i dlatego prosiłem o korepetycje jednego z kolegów, dobrego matematyka, by nie nadużywać dobroci profesora.

Życie w mieście narażało mnie na różne niebezpieczeństwa. Najbliższym z nich było kino. Poszedłem tam trzy razy. Wyświetlali tam owe ponure filmy z Tomem Mixem. Miałem już tego dosyć i powiedziałem raz

kolegom, którzy za tym przepadali: „Gdy patrzę na życie, to mam prawdziwe kino, a na te bzdury nie wydam już ani grosza”. Następnymi pokusami były potańcówki i życie towarzyskie.

Długo im się opierałem myśląc o chorym na serce ojcu. Gdyby się dowiedział, że szukam sobie przyjemności w potańcówkach, to nie mógłby tego przeżyć i ponosiłbym winę być może za jego przedwczesną śmierć. Nie mogłem jednak oprzeć się, by popробować. Nie wystarczała mi tu własna siła wypływająca z upomnień kochanego ojca i jego przykładu ani też samodyscyplina. Pewnego dnia również i ja kręciłem się na parkiecie. Potem jeszcze trzy razy namówili mnie koledzy na wspólną potańcówkę. Ale ostatnim razem już się z nimi nie bawiłem. Okazało się, że kilku chłopaków kłóciło się o pewną dziewczynę i doszło do bójki. Zniechęciło mnie to i już więcej nie chodziłem na potańcówki. Nie byłem nawet na balu maturalnym.

W naszym mieście istniała już wtedy publiczna czytelnia. Tamtędy wiodła moja ścieżka, gdy tylko czas pozwalał. Zagrzebywałem się w gazetach, czasopismach i książkach. Przeczytałem w owych latach około 1500 książek. Nabrałem dzięki temu elokwencji i będąc Niemcem otrzymywałem z polskiego (głównego przedmiotu) najlepsze stopnie. Nie przeczuwałem wtedy, że była w tym ręka Boża. Otóż wkrótce po moim nawróceniu poprosili mnie bracia, bym się podjął korekty i stylistycznego wygładzania polskiego pisma zborowego. Szczęśliwy ten, kto znajduje się pod prowadzącą go łaską Bożą; kto ma rodziców wierzących, modlących się gorąco w oddali o swe dziecko, by Pan Bóg uchronił je od wszelkiego zła, chociaż ono samo jeszcze się nie nawróciło.

Mieliśmy też pastora szkolnego, który spośród różnych duchownych zapisał się szczególnie w mej pamięci. Był bardzo przyjacielski i dobrze grał na fortepianie. Miał żonę dentystkę. Wielu biednym uczniom i studentom bezpłatnie leczyła zęby. Oboje w niedzielę często gościli biedniejszych. Tak, Jezus też mówi, że są „dobrzy ludzie”. W jego przypowieści o uczcie weselnej czytamy: „...i przyprowadzili ze sobą, ilu tylko znaleźli, zarówno złych, jak i dobrych”.

Pewnego dnia przeżyłem zapaść. Miałem wtedy 17 lat. Dostałem nagle ciężkiego krwotoku i straciłem wtedy około 2 litrów krwi. Myślałem, że już koniec ze mną, że już z tego nie wyjdę. A gdybym tak odstąpił od wiary... to co wtedy? Przed oczami stanęła mi wieczność. Poszedłem potem do naszego pastora i szczerze opowiedziałem mu o moich rozterkach. Pierwszy raz zobaczyłem wówczas, że i on może być bezradny.

— No cóż... Chyba nie umiem ci pomóc w tym wypadku. Ale cóż robić? Uspokój się. Kiedy człowiek jest młody, wszystkie problemy wyolbrzymia. Zwłaszcza te, które dotyczą sumienia. To wkrótce minie, nie bój się. Wpadnij znów w niedzielę na obiad.

Potem siadł do pianina i zagrał po mistrzowsku jakiś piękny utwór. Tak, on umiał rzeczywiście być bardzo miły, ale duchowo mnie to nie pocieszyło.

Nie zapomnę też pewnego kolegi z lat studenckich. Pochodził on z Niemców wołyńskich, był bardzo wyrośnięty i blady, a w oczach jego widać było wiele duchowego cierpienia. Chociaż miał duże zdolności i dobrą pamięć często sobie z niego pokpiwano, bo zachowywał się nieraz niezgrabnie, a na gimnastyce zawsze gdzieś przepadał. Zainteresowałem się nim. Zauważyłem wówczas, że był niewolnikiem grzechu młodości i miał słabą wolę. Chciałem mu pomóc, ale jak? Ach, gdybym już wówczas poznał Jezusa jako ratującego z wszelkich namiętności, to bym temu koledze pomógł! Jego ciało, osłabione tą okropną, nieokiełzaną namiętnością, rozpadało się w sposób widoczny. Przeczuwałem najgorsze. Dwa tygodnie po dobrze zdanym egzaminie maturalnym zmarł jako ofiara swej przywary. Zahuczało wówczas we mnie:

„Boże, jeśli jesteś stwórcą ludzi, to dlaczego dopuściłeś, aby Edwin urodził się z takimi skłonnościami? O Boże, nie potrafię Cię zrozumieć, odwracam się od Ciebie. Nie chcę już nic więcej o tobie wiedzieć! Stwarzasz ludzi i pozwalasz, aby odchodzili powoli ku śmierci na skutek namiętności otrzymanej już od urodzenia. Albo nie jesteś Bogiem, albo nie ma wcale Boga.”

Długo nie mogłem przeboleć śmierci biednego Edwina. Ale na drodze rozważania czy też obrachunku, wyciągnąłem z tego takie wnioski, że strzegłem się tego młodzieńczego grzechu młodości jak ognia i nie wiązałem się z żadną dziewczyną podejrzaną reputacji, lecz pogrążyłem się cały w książkach, nie tylko celem pogłębienia wiedzy, ale również wyciszenia swej ciągłej tęsknoty. Tęsknoty za pokojem. A jednak pod wpływem pewnego przyjaciela, także i ja znalazłem się na bezdrożu.